



KALYNN BAYRON

AUTORKA BESTSELLERA *CINDERELLA IS DEAD*

SPRÓBUJE DZIŚ NIE UMRZEĆ

moondrive

Wszystkim, które ocalały.



ROZDZIAŁ 1

Mam zakrwawione ręce i ziemię za paznokciami. Moje dżinsy są rozdarte na kolanie, a koszulka jest poplamiona, bo przed chwilą wygrzebałam się z kryjówki pod składzikiem. On jest za blisko, nie mogę ryzykować, że mnie tu znajdzie.

Księżyc wygląda dziś jak srebrny przecinek na niebie, ale czuję wdzięczność za to, że w ogóle jest. Zgubiłam latarkę i jedynie on oświecła mi ścieżkę, którą biegnę do głównego domku.

Przed sobą widzę już hangar dla łodzi. Wciągam w płuca haust chłodnego nocnego powietrza i wydaję z siebie rozziewający krzyk. Mój głos niesie się wśród czystej, ciemnej głuszy. Z hangaru wypadają trzy osoby. Potykają się o siebie nawzajem, kobieta drze się wniebogłosy, a towarzyszący jej mężczyźni sprawiają wrażenie całkowicie roztrzęsionych.

– Pomocy! – wołam. Ciężko dysząc i przyciskając rękę do boku, kuśtykam w ich stronę. – Proszę, pomóżcie mi!

Kobieta podbiega i zaczyna mną potrząsać, wbijając mi przy tym paznokcie w skórę.

– Muszę się stąd wydostać! – krzyczy. – Nie wiedziałam, że to tak wygląda! Już dłużej nie dam rady! – Zauważam, że ma wypukłą przegę na policzku i rozciętą dolną wargę.

– Zostaliście tylko wy? – pytam, próbując złapać oddech.

– Tak – odpowiada jeden z chłopaków. Niespokojnie zerka na jezioro, w którego gładkiej, spokojnej tafli, niczym w gigantycznym czarnym zwierciadle, odbija się srebrzysty skrawek księżyca. Gdzieś za mną trzaska gałąź, jakby zmiażdżona ciężkim butem. Serce podchodzi mi do gardła. Kobieta pochyla się i kładzie ręce na kolanach. Zdaje się, że nic nie usłyszała. Z lasu za jej plecami wyłania się on. Mężczyzna ma na sobie ciemnoniebieski kombinezon uwalany ziemią, przez co jest prawie niewidoczny na tle wysokich sosen. Jego ponaddwumetrowa sylwetka majaczy w mroku niczym duch. Wyraźnie odznacza się tylko przerażająca brudnobiała maska ze smugami krwi i błota, pęknięta na prawym policzku. W masywnej dłoni olbrzym ściska zakrwawioną maczetę.

Konsekwentnie zmierza w naszą stronę, ale kobieta go nie zauważa, dopóki nie jest za późno. Mężczyzna łapie ją od tyłu i podnosi. Niesie kopiącą i krzyczącą dziewczynę do Zakładu Kamieniarza, mniejszego domku, którego używamy głównie jako rupieciarni. Nie ruszam się z miejsca. Nie mogę.

Jeden z chłopaków korzysta z okazji i zrywa się do ucieczki w kierunku głównej bramy. Drugi stoi jak wmurowany, na jego czole perlą się kropelki potu. Chwytam go za ramię, a on, wyrwany z wywołanego przerażeniem transu, zaczyna wrzeszczeć na cały głos.

– Uciekamy! – krzyczę do niego.

Biegniemy w kierunku bramy. Prowadząca tam nieutwardzona droga wydaje się teraz zdecydowanie zbyt długa, wokół nas odbijają się echem przeraźliwe krzyki schwytanej kobiety. Z ciemności wylania się gigantyczny drewniany sztyl obozu. Drugi z mężczyzn już przy nim jest.

– Brandon! – krzyczy. – Rusz tylek! Wynośmy się stąd!

– A co z Leslie? – pyta Brandon. – Nie możemy jej tak zostawić!

– Jak to nie?! – woła drugi mężczyzna.

Na parkingu leży ciało. Tasha, moja przyjaciółka i od tego lata również współpracownica, tkwi nieruchomo na brzuchu. Z jej pleców sterczy połyskująca w mroku rękojeść dużego noża. Na żółtej koszulce widać ciemną plamę.

Brandon dostrzega zwłoki i rzuca się do żelaznej bramy, która okazuje się zamknięta na kłódkę. Przypadam do niej i łapię za metalowe pręty. Zaczynam nimi potrząsać, krzycząc przy tym na całe gardło:

– Pomocy! Proszę! Niech nam ktoś pomoże!

Po drugiej stronie pojawia się zamaskowana postać z maczetą.

– Nie! – krzyczę. – Zostaw nas! Czego od nas chcesz?

Młodzi mężczyźni przypadają do siebie. Po policzkach Brandona płyną łzy.

Zamaskowana postać wciąż się zbliża, zaciskam palce na bramie. Nie ruszam się, choć instynkt podpowiada mi, żeby uciekać. Napastnik wsuwa rękę przez pręty i chwyta mnie za koszulę. Szamoczę się, drapię, kopię w bramę.

Z góry świdrują mnie jego czarne jak węgiel oczy. Sięgam do paska dżinsów, gdzie ukryłam rzeźniczy nóż. Wyszarpuję go i wbijam w klatkę piersiową zabójcy, z rany tryska krew. Męczyzna zwalnia uchwyt, widzę, że słania się na nogach. Z krzykiem upuszcza maczetę, pada na plecy i nieruchomieje.

Już po wszystkim.

Odwracam się powoli i patrzę wystraszonym chłopakom prosto w oczy.

Uśmiecham się.

Na końcu nigdy nie jest łatwo. Z całej siły staram się nie roześmiać, ale przy wygłaszaniu końcowej kwestii nie mogę się powstrzymać od lekkiego chichotu.

– Jestem ostatnią ocalałą – oznajmiam.

Włączone nagle reflektory zalewają bramę jasnym białym światłem.

– A wy przeżyliście noc w obozie Mirror Lake. Gratulacje!

Dwaj kumple gapią się na mnie zbaraniałym wzrokiem, zewsząd dookoła zaczynają wychodzić ludzie. Dołącza do nas reszta obozowego personelu, pojawiają się też klienci wyeliminowani na wcześniejszym etapie. Zmar-twychwstała Tasha podrywa się na nogi, z jej pleców wciąż sterczy przymocowana atrapa noża. Wycieram usta grzbietem dłoni i czuję na wargach słodko-mdły smak

syropu kukurydzianego. Ktoś włącza muzykę, z głośników płynie motyw muzyczny z filmu *Halloween*.

Przez tłum przedziera się Leslie – laska porwana nieopodal Zakładu Kamieniarza. Podchodzi do Brandona i wymierza mu siarczasty policzek, z ust chłopaka wylatuje plwocina. Tłum milknie.

– Zostawiłeś mnie! – krzyczy. – Uciekłeś!

Pojawia się Kyle, zamaskowany zabójca, a w rzeczywistości mój kolega z klasy z liceum w Groton. Nie ma już maski i trzyma w ręce koszulkę z napisem „Przeżyłem noc w obozie Mirror Lake”. To nagroda za „zwycięstwo” w grze, którą wręcza Brandonowi, ale w tej samej chwili Leslie wyrywa swojemu chłopakowi koszulkę z rąk, rzuca pod nogi i wdeptuje w błoto. Zrywa z nim na oczach wszystkich.

Kyle nachyla się ku mnie, a ja zadzieram głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Charity, daliśmy czadu.

Spoglądam na ciemnoczerwoną płamę na jego piersi.

– Nie zrobiłam ci krzywdy, prawda? Widziałam, jak się skrzywiłeś. Przepraszam.

Kyle kręci głową i oddaje mi mój wysuwany nóż.

– Nie schował się do końca w rękojęści. Przez chwilę myślałem, że naprawdę mnie dźgnęłaś. – Chichocze. – Nic mi nie jest. Ale wolalbym zejść ci z drogi, gdybyś naprawdę się wściekła. – Z uśmiechem rozmasowuje sobie tors.

To była zdecydowanie jedna z trzech najlepszych symulacji w tym sezonie. Jestem taka dumna z całej ekipy. Szkoda mi Brandona i jego byleję, ale przecież wiedzieli,

na co się piszą. Teraz liczy się tylko to, że gra poszła świetnie, a ja mogę wreszcie iść pod prysznic i wypaść się porządnie w swoim domku. A jutro wieczorem zrobić to wszystko jeszcze raz.

Po odbębnieniu dwóch sezonów – pierwszego jako osoba zmywająca sztuczną krew i drugiego jako ofiara nr 3 – w trzecim w końcu awansowałam i zaproponowano mi najbardziej pożądaną rolę w całym przedsięwzięciu: zostałam ostatnią ocalałą. A dokładniej – konkretną ostatnią ocalałą z głośnego filmu grozy.

Obóz Mirror Lake to pełnokontaktowa symulacja horroru. Odgrywamy ją w tym samym miejscu, w którym w 1983 roku nakręcono kultową *Kłatwę obozu Mirror Lake*. Na skali slasherów można ją uplasować gdzieś pomiędzy *Piątkiem trzynastego* a *Krzykiem*. To klasyk, choć trochę tandetny, jeśli mam być szczerą. Opowiada o krwawej jatce, jaką niehumanitarny seryjniak, Scott Addison, urządził w latach osiemdziesiątych w letnim obozie pełnym nastolatków i ich nieporadnych nieletnich opiekunów. Odtworzymy wydarzenia z tego filmu, a klienci za to płacą. Przyjeżdżają tu, żeby się bać, ale rzadko są w pełni przygotowani na to, co ich czeka.

Udział w naszej symulacji wymaga od wszystkich gości podpisania trzydziestotrzystronicowego oświadczenia o zrzeczeniu się roszczeń. Nikt nie zawraca sobie głowy czytaniem całości dokumentu, który wyraźnie stwierdza, że personel może szturchać, popychać i wiązać gości.

Możemy w dowolny sposób straszyć każdego, kto się pod nim podpisze. Dlatego niezmiennie śmiesz mnie widok ludzi, którzy wyjeżdżają stąd wkurzeni. Podpisałeś zgodę na to, żeby facet w masce ganiał cię po lesie, ale nagle to wszystko stało się zbyt realne? Gwarantujemy, że u nas każdy naje się strachu i stąd właśnie bierze się nasza renoma. Nie dysponujemy budżetem marketingowym. Nie rozmieszczamy reklam ani billboardów – polegamy jedynie na pocście pantoflowej. Musimy maksymalnie dokręcać śrubę, żeby po powrocie do domu klienci opowiedzieli wszystkim, jak bardzo się bali. To dzięki temu dzień w dzień odwiedzają nas ludzie o skłonnościach – słowo daję – czysto masochistycznych.

Lato powoli się kończy, a ja planuję ostatnią symulację – wielki finał sezonu. Włożyliśmy w niego mnóstwo pracy i czuję w kościach, że będzie to najlepszy wieczór w historii obozu. Mamy nowe efekty specjalne, udoskonaliśmy przepis na sztuczną krew, która będzie wyglądać bardziej realistycznie, wprost nie mogę się też doczekać, żeby zobaczyć, jak Kyle wyskakuje z naprawionego wjazdu w podłodze głównego domku na niczego niepodejrzewających gości, którzy z jakiegoś powodu uważają, że kuchnia to doskonała kryjówka. Do wielkiego show pozostały jeszcze trzy dni, a już drzę z ekscytacji.

Zgodnie z naszymi zasadami przyjezdni muszą opuścić obóz od razu po oficjalnym zakończeniu imprezy, czyli przed pierwszą w nocy. Kończę wymeldowywać wszystkich, w tym Brandona i jego byłą dziewczynę, Leslie, robię ostatni obchód biura i naszego największego domku zwanego Kwaterą Główną, po czym udaję się do

domku nr 1, który przez większość sezonu nazywam swoim domem.

Każda zakończona symulacja oznacza, że mój powrót do domu zbliża się coraz większymi krokami. Wolę się siedzieć tu, w tych lasach, ścigana przez fałszywego seryjnego mordercę, niż wrócić do Groton, do mamy i jej chłopaka Roba, którzy udają, że nie istnieję. Mieszkamy w Cedra Court, dawnym motelu, pod koniec lat dziewięćdziesiątych przekształconym na blok mieszkalny. Moim zdaniem to był najgorszy pomysł na świecie. Człowiek nie czuje się tam jak w domu, tylko jak w miejscu, w którym chwilowo się zatrzymał.

W oczach mojej rodzicielki Rob jest kryształowy, mimo że to dorosły facet, który nie umie utrzymać żadnej pracy i który spędza dnie, siedząc na kanapie, na której trwale odgniół się zarys jego tyłka. Za dużo pije, wydaje pieniądze mamy harującej na dwóch etatach, żeby związać koniec z końcem, i nie wiedzieć czemu to mnie uznaje za swój największy problem. Najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek dla mnie zrobił, było podsuniecie mi ogłoszenia o pracę w obozie Mirror Lake.

Otrząsam się z tych smętnych rozmyślań, które psują mi nastrój. Wyjmuję z ucha słuchawkę, żeby ją wyczyścić. Na cienkim przewodzie łączącym ją z modułem zasilającym, który przypinam do paska dżinsów, zaschła skorupa sztucznej krwi. Spinam włosy na czubku głowy i zakładam plastikowy czepek, biorę rzeczy pod prysznic, latarkę i wsuwam stopy w klapki. W naszych domkach nie ma pryszniców, więc wszyscy kąpiemy się we wspólnej łazience.

Czuję, jak sztuczna krew zastyga mi na twarzy niczym skorupa. Kiedy zostawiam ją zbyt długo, łuszczy mi się skóra, więc przed pójściem spać staram się ją zmyć. Jestem tak zmęczona, że ledwo widzę na oczy, ale to, że siedzę w środku lasu w północnej części stanu Nowy Jork i wcielam się w ostatnią ocalałą, nie oznacza bynajmniej, że mam zrezygnować z codziennej rutyny pielęgnacyjnej.

Zamykam za sobą drzwi i wychodzę na werandę. Nad drzwiami świeci jasne światło. Włożyłam do lampki studzienną żarówkę, która jarzy się niczym miniaturowe słońce i szumi, jakby lada chwila miała eksplodować. Letnie powietrze jest wilgotne i ciepłe, przez co codziennie chodzę w kręconych włosach – prostowanie ich w takich warunkach byłoby bezcelowe. Na szczęście delikatna bryza wiejąca od strony jeziora daje nam lekką ulgę w nieznośnym upale. Goście już odjechali, reszta personelu położyła się spać, obóz spowija osobliwa cisza. Ten spokój wyraźnie kontrastuje z chaosem, który jeszcze niedawno tu panował.

Zbiegam po schodkach, które głośno skrzypią. Skręcam w lewo i okrążam swój domek od tyłu. Ścieżka prowadząca do pryszniców nie jest oświetlona. Podczas symulacji to właśnie tutaj ofiarę nr 2 spotyka makabryczny koniec. Na ziemi wciąż widać kawałki sztucznych wnętrzności i ciemne plamy sztucznej krwi. Przed przybyciem kolejnej grupy będę musiała przysypać je ziemią, ale teraz po prostu je omijam, starając się nie zabrudzić kłapek.

Przez gęste drzewa nie dociera światło księżyca, włączam więc latarkę i oświetlam sobie drogę. Nagle

podskakuję – gdzieś po lewej stronie trzaska gałąź. Serce podchodzi mi do gardła. Pod nogami zauważam małe futrzaste zwierzątko, jego ślepie błyszczą w świetle latarki. To szop pracz. Robię głośny wydech i pstrykam palcami.

– No już – mówię do zwierzątka. – Zmiataj stąd.

Szop przez chwilę patrzy na mnie, jakbym to ja zagrodziła mu drogę, po czym znika w ciemności.

Wchodzę po schodkach prowadzących do wspólnych pryszniców i staram się uspokoić rozkołataną serce. Wyciągam klucz i już mam go włożyć do zamka, gdy zauważam, że drzwi są lekko uchylone. Świecę latarką przez szczeliny w deskach.

– Nie igraj ze mną – mówię głośno. Sięgam do kosmetyczki, wyciągam gaz pieprzowy i wyłączam blokadę. – Ostrzegam, użyję gazu.

Cisza.

Włosy na karku stają mi dęba. Światło latarki mruga dwa razy i blednie.

– Tylko nie to – mówię, uderzając latarką o framugę drzwi, aż wiązka światła znów świeci stabilnie.

W horrorach zwykle wygląda to tak, że dziewczyna wchodzi pod prysznic, rozbiera się i w ostatniej chwili z gołym zadkiem ucieka przed zamaskowanym zabójcą. Z tym że ja tylko gram ostatnią ocalałą i bynajmniej nie chcę nią być w realu. Zbieram więc swój czarny tyłek, wracam do domku i zamykam drzwi na klucz. Zabiegi pielęgnacyjne twarzy będą musiały poczekać.

Na nocnej szafce brzęczy moja komórka.

KYLE: Jordan i Heather zaginęły w akcji i sam musiałem obsługiwać włazy. Wkurzyłem się.

JA: Co z nimi?

KYLE: Nie mam pojęcia. Jeśli nie wrócą, zostaniemy tylko ja, ty, Tasha, Porter i Javier. Będziemy musieli sami zamknąć obóz po sezonie.

Przewracam oczami. Ludzie albo podchodzą do tej pracy zbyt serio, albo w ogóle nie traktują jej poważnie. Ze starych pracowników zostaliśmy jedynie ja i Kyle. Reszta z pierwszego sezonu odeszła. W zeszłym roku do załogi dołączyli moja przyjaciółka Tasha i nasz wspólny kumpel Porter; tak czy inaczej czasem się zdarza, że nowi pracownicy są agresywni w stosunku do klientów i lubią nimi pomiatać. Nasze zadanie polega na straszaniu ludzi, a nie robieniu im krzywdy, co już się zdarzyło raz czy dwa razy. Nieraz myślę, że wśród naszego personelu było kilku autentycznych początkujących seryjnych zabójców, którzy zatrudnili się tu, żeby poćwiczyć na naszych klientach. Na szczęście łatwo ich wykryć, bo zadają dużo dziwacznych pytań odnośnie do legalności naszych działań. Chcą być pewni, że jeśli naprawdę kogoś dźgną, okaleczą lub zabiją, nie będą mieli kłopotów. Zawsze pytam takiego delikwenta, czy rozumie, że morderstwo jest złe, nielegalne i stuprocentowo wykluczone. Owszem, możemy szturchać, popychać i krzyczeć, używamy też rekwizytów do straszenia, lecz nikogo celowo nie krzywdzimy. Obdrapane kolana i skręcone kostki są niejako wliczone w ryzyko, ale bez przesady. Raz wezwałam gliny do kolesia, który wcielał się w rolę ofiary. Miał jedynie uciekać ścieżką nr 3, ciągnąc za sobą atrapę odciętego ramienia, i wrzeszczeć wniebogłosy. Wymyślił sobie jednak, że złapie którąś z klientek, zaciągnie do

hangaru i zwiąże. Szeryf z Groton usunął go stąd w samym środku gry.

Na początku tego sezonu jeden z nowych doszedł do wniosku, że jeśli ktoś wpadnie mu pod nóż, to „technicznie rzecz biorąc”, nie będzie to morderstwo. Natychmiast go zwolniłam.

Zdarzają się też takie egzemplarze jak Heather i Jordan – zbyt pochłonięte obściskiwaniem się w dawnym Centrum Sztuki i Rzemiosła, żeby zająć się robotą, a potem dające nogę, gdy tylko przyjdzie im ochota. W tym sezonie straciliśmy już trzech pełnoetatowych pracowników.

JA: Rano napiszę do przyjaciółek i spytam, czy przyjadą nam pomóc.

KYLE: Dzwonimy do pana Lamonta?

Pan Lamont jest właścicielem obozu. Nigdy tu nie przyjeżdża i nie pomaga nam w pracy, ale zawsze nadzoruje wszystko przez telefon.

KYLE: Nie. Zostało kilka dni, ogarniemy to. Pogadam z nim po sezonie, powiem, że na następne lato musimy zatrudnić więcej osób. Damy radę.

KYLE: Okej. Luz.

Zastanawiam się przez chwilę.

KYLE: Hej, to ty próbowałeś mnie przed chwilą wystraszyć pod prysznicami? Drzwi były otwarte.

Dość długo czekam na odpowiedź. Sprawdzam zasięg – dwie kreski. Wreszcie telefon brzęczy.

KYLE: No co ty! Nigdy bym ci tego nie zrobił. Ta robota chyba już ci zryła banię, co, Charity?

JA: Zamknij się, lol. Sądzisz, że się boję?

KYLE: Ja, ty i Tasha to jedyni czarni w obozie. W prawdziwym horrorze byłoby już po nas.

JA: Jestem ostatnią ocalałą, uuu! Przeżyję, choćby nie wiem co. Sorry, taką mam pracę.

Kyle wysłała mi serię emotek z nożami rzeźnickimi i mema z Michaeliem Myersem próbującym dopaść chowającą się w szafie Jamie Lee Curtis.

JA: Jamie Lee to najlepsza ostatnia ocalała. Zaraz za nią jest Neve Campbell. Michael Myers może się gonić.

Przez całe życie byłam fanką horrorów i opowieści grozy. Pochłonęłam wszystkie powieści Tananarive Due, obejrzałam każdy film Jordana Peele'a. Uwielbiam horrory, choć inni uważają je za chłam. Chętnie podyskutuję z tymi, którzy mają coś do powiedzenia na temat arcydzieła, jakim jest *Crimson Peak. Wzgórze krwi*. Kiedy Rob podetknął mi pod nos ogłoszenie i niemal zmusił, bym zadzwoniła pod wskazany numer, weszłam w to bez wahania, zwarta i gotowa wziąć udział w przygodzie tworzenia symulacji obozu Mirror Lake. Niełatwo mnie przestraszyć, jednak potrafię też ocenić, kiedy nie warto ryzykować. To nieprawda, że od tej roboty siada mi psychika, ale czy rzeczywiście miałam wejść do łazienki, która powinna być zamknięta na klucz, w dodatku z latarką, która stroi fochy? Nie, dziękuję. Co to, to nie.

Życzę Kyle'owi dobrej nocy i odkładam telefon na ładowarkę. Ponownie sprawdzam, czy drzwi i dwa okna w moim domku są zaryglowane. Gaszę światło i wślizguję się pod kołdrę, zastanawiając się, jak uda nam się domknąć sezon w samym podstawowym składzie.

Zrywa się wiatr, samotna żarówka na zewnątrz migocze. Chwytam gaz pieprzowy i przysuwam bliżej siebie latarkę na nocnym stoliku. Domkiem wstrząsa kolejny podmuch, podciągam więc koldrę pod szyję i zakopuję się głębiej w łóżku, w nadziei, że delikatne kołysanie zasłon to sprawka wiatru świszczącego przez szczelinę w deskach.

Uśmiecham się do siebie. Właśnie takie rzeczy wmawiają sobie bohaterowie horrorów na chwilę przed tym, jak pojawia się koleś z hakiem zamiast ręki i rozrywa ich na strzępy.

To tylko wiatr.

W szafie nikogo nie ma.

Pod łóżkiem też nie.

To tylko twoja wyobraźnia.



ROZDZIAŁ 2

Leżę w łóżku i wpatruję się w belki na suficie. Nie mam pojęcia, dlaczego już nie śpię. Zerkam na telefon. Budzik zadzwoni dopiero za trzydzieści minut, ale ślina na mojej poszewce świadczy o tym, że coś wyrwało mnie z głębokiego snu.

Siadam na łóżku. Nad niewidocznym horyzontem wschodzi słońce i wślizguje się przez okno. Łowię uchem jakiś odgłos – plusk w jeziorze naprzeciwko domku. W mgnieniu oka się zrywam i podchodzę do okna.

Krople rosy, które nocą osiadły na ziemi, połyskują w jaskrawym świetle poranka. Teoretycznie powinno to współgrać z odległym charakterem tego miejsca, które – z wyjątkiem momentów, kiedy odgrywamy nasze przedstawienie – mogłoby się wydawać idylliczne. Mogłoby, gdyby nie jezioro. Zawsze jest w tle i choćbym nie wiem jak się starała, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ma w sobie coś złowieszczego. Rejon, w którym się znajdujemy,

obfituje w jeziora, lecz to konkretne wywołuje we mnie dreszcze za każdym razem, gdy na nie patrzę.

Słysząc kolejny plusk.

Sapię poirytowana. Powinnam to sprawdzić, choć nie bardzo mam na to ochotę. W ramach swoich obowiązków muszę zapewnić gościom wysoką dawkę przerażenia, ale także dbać o ich bezpieczeństwo, z czym wiąże się pilnowanie, aby wszyscy przestrzegali bezwzględного zakazu pływania w jeziorze.

Wychodzę na werandę i wilgotne letnie powietrze bucha mi w nozdrza. Czuję się, jakbym wdychała parę z garnka z gotującą się wodą. Wszystko aż się lepi, owady to uwielbiają. Nieustanne brzęczenie much i komarów doprowadza mnie do szału. Trzymam w domku raid, którego używam, gdy to całe bzyczenie staje się zbyt uciążliwe. Wokół zapalonej żarówki kłębi się rój owadów.

Nikt nie powinien wchodzić do jeziora. Cały sprzęt do pływania, który tu trzymamy, jest tylko elementem scenografii. Kołyszące się na wodzie kajaki i łodzie przycumowane w doku mają przywozić na myśl początek filmu *Kłótwa obozu Mirror Lake*. Ten obrazek idealnie pasuje do naszej symulacji. Pomaga zwieść uczestników, stworzyć pozory normalności, zanim ich świat zostanie wyrwiony do góry nogami.

Tego ranka woda jest gładka i spokojna. Przypomina wielką czarną szybę. Skanuję wzrokiem brzeg jeziora, sprawdzając, czy coś do niego nie wpadło – jakiś jeleni albo szop – ale nigdzie nie ma żywego ducha. Nic się nie rusza. Wzdycham, biorę telefon i wyłączam budzik. Nie ma sensu, żebym wracała do łóżka.

Scrolluję mejle w skrzynce, która nie aktualizowała się od kilku godzin z racji fatalnego zasięgu. Miniklimatyzator w domku ledwo zipie, więc go wyłączam, zgarniam rzeczy do mycia i ponownie idę pod prysznic.

W świetle dziennym nie ma się czego bać. Budynek z prysznicami jest podniszczony, kabiny ciasne, ale przynajmniej jest tu ciepła woda. Po zmyciu z siebie pozostałości po wczorajszej symulacji czuję się jak nowo narodzona.

Ubieram się stosownie do zapowiadającego się upału – w szorty, T-shirt oraz trampki – i idę do domku biurowego. Rosa z wolna wysycha w promieniach słońca przebijających się przez wysokie sosny. Podnosząca się z ziemi mgła kłębi się wokół moich kostek niczym nisko płynący obłok.

Przed wejściem do biura robię jeszcze obchód obozu i sprawdzam, czy wszystko gra. Zaczynam od strony wschodniej, od Warsztatu Rzemieślnika, w którym mieści się sterownia. Zewnętrzne drzwi są zamknięte, a ja nie zaglądam do środka. Nigdy nie ma tam żadnych problemów, ale na zewnątrz stoi relikht minionej epoki – generator prądu. Zeszłego lata nagle padł, a kiedy wygooglowałam markę i model, żeby sprawdzić, czy sama go naprawię, okazało się, że wyprodukowano go w 1990 roku. Otwieram panel boczny. Wskaźnik paliwa jest pełny, a zielone światelko w rogu świeci stabilnie, co oznacza, że w przypadku awarii głównego zasilania sprzęt się uruchomi. Jako poważnie podchodząca do roli ostatnia ocalała powinnam zawsze sprawdzić, czy generator ma wystarczającą ilość paliwa i czy – bez względu na wiek – nadaje się do użytku.

Idę dalej zalesioną ścieżką pomiędzy pryznicami a moją kwaterą. Na niewielkiej polanie natykam się na Portera i Javiera – jednego z naszych nowych pracowników, którzy najwyraźniej są w środku sprzeczki.

Porter stoi z ręką opartą na biodrze.

– To, że się boisz, nie oznacza, że możesz to odpuścić i po prostu tam nie iść.

– W takim razie idź sam – odcina się Javier. – Przecież znasz obóz jak własną kieszeń. To ma chyba większy sens, żebyś to ty tam poszedł?

Porter wyrzuca ręce do góry i wtedy zauważa mnie.

– O, świetnie – mówi, składając dłonie. – Idzie szefowa. Niech ona ci powie, czym obowiązkiem jest sprawozdanie terenu wzdłuż ogrodzenia, cukiereczku, bo na pewno nie moim.

Podchodzę do Javiera.

– To twoja działka. Masz z tym jakiś problem?

Javier uśmiecha się i unosi prawą brew. Jest wysoki, ciemnowłosy i ciemnooki, z mnóstwem piegów na policzkach i nosie. Choć wygląda na sportowca, to zauważyłam, że potyka się o niemal każdy cholerny korzeń lub muldę na ścieżce. Szczerzę wątplię, by jego koordynacja ruchowa pozwalała mu chociażby na chodzenie prosto, nie wspominając już o uprawianiu sportów.

– Daj spokój, Charity – jęczy. – Porter lepiej się do tego nadaje. Zna tu każdy kamień, a poza tym, jeśli coś mi się stanie, nie zdążymy się lepiej poznać. Pomyślałaś o tym? – Rzuca mi kolejny uśmiech. Jego intencje są tak oczywiste, że aż mnie to bawi.

– Jestem wegetarianką – mówię.

Patrzy na mnie zdezorientowany.

– Słucham?

– Charity nie je mięsa – wyjaśnia Porter. – Tylko truskawki, jak śpiewa mój idol, Harry Styles.

Javier ściąga brwi. Ja i Porter się rozumiemy, bo oboje należymy do mafii alfabetycznej*, ale biedny Javier nie ma pojęcia, o czym mówimy.

– Jestem lesbijką – wyjaśniam. – Stuprocentową. Zachowaj cały ten flirt i głupkowate uśmiešky dla kogoś, kto to doceni, i w dodatku nie jest twoim przełożonym.

Porter przekrzywia głowę.

– Ja za to jestem stuprocentowym homo wiadomo i nie jestem twoim przełożonym, więc bez krępacji możesz spróbować mnie uwieść. Co pewnie ci się nie uda, zważywszy, że właśnie próbujesz rzucić na mnie swoje obowiązki służbowe. Ale zawsze możesz spróbować.

Sądząc po minie Javiera, chłopak naprawdę się zastanawia nad przyjęciem tej propozycji, lecz zanim zdąży otworzyć usta, zmieniam temat.

– Javier, musisz sprawdzić ogrodzenie. To ważne.

Wciąż czuję się trochę dziwnie, przydzielając zadania i egzekwując ich wykonanie. Podczas poprzednich dwóch sezonów zawsze brałam na siebie dodatkowe obowiązki – koordynowałam przebieg symulacji i robiłam rezerwacje. Pracowałam nawet nad udoskonaleniem receptury na sztuczną krew. Na początku lata pan Lamont wyznał, że jest pod wrażeniem mojego zaangażowania, i w tym roku postanowił przekazać mi stery

* Mianem mafii alfabetycznej (ang. *the alphabet mafia*) określa się czasem członków społeczności LGBT+. (Przypis od tłumaczki).

w zakresie bieżącej działalności obozu. Stwierdził, że jestem odpowiedzialna, samowystarczalna i godna zaufania. To w większości prawda. Mam te wszystkie cechy, ale głównie z powodu braku wyboru – musiałam się taka stać, dorastając przy nieodpowiedzialnej matce, która – dopóki nie rujnowałam jej planów – nie zwracała na mnie większej uwagi.

Javier krzyżuje ręce na piersi i wzdycha ostentacyjnie.

– Javi, to twoja praca – oznajmiam mu stanowczo. – Poza tym wszyscy się tym zajmujemy. Ty musisz tylko sprawdzić południową część plotu.

– Ta, jasne – mówi sarkastycznym tonem. – Akurat ten fragment lasu, gdzie jest najciemniej. Słońce nie dochodzi tam nawet za dnia.

Spoglądam na południe. Chyba ma rację. Wprawdzie w pozostałych częściach obozu przy płocie jest tyle samo drzew, ale po południowej stronie las wydaje się bardziej zwarty. Jakby rosnące tam drzewa tłoczyły się i rozpychały. Wzdycham i odwracam się z powrotem do Javiera.

– Trzeba to załatwić i masz to na liście, więc proszę, po prostu to zrób.

– W porządku. – Javier rozgląda się przez chwilę, po czym rusza w kierunku jeziora.

– Nie w tę stronę! – woła za nim Porter. – Południe jest tam. – Wskazuje ręką na szpaler wysokich sosen oddzielających obóz i okalające go ogrodzenie.

– Przecież wiem. – Chłopak robi głęboki wdech i wypuszcza powietrze z głośnym sykiem. – Jeśli nie wrócę do biura za dwadzieścia minut, przyjdźcie mnie szukać, bo to będzie oznaczać, że się zgubiłem.

Porter macha mu ręką na pożegnanie, a Javier wchodzi pomiędzy drzewa. Gdy tylko znika z pola widzenia, chłopak odwraca się do mnie.

– Charity, musimy przestać ściągać tu tych nadętych dupków.

– Nie przesadzaj – mówię, próbując powstrzymać śmiech. – Nie jest taki zły.

– Fakt, ciacho z niego – stwierdza Porter, unosząc idealnie łukowatą brew, i przygryza dolną wargę. – Cieszy oko, ale wygląd to nie wszystko. Wiesz, od czego się zaczęła nasza mała przepychanka?

Wzruszam ramionami i kierujemy się w stronę Kwatery Głównej.

– Powiedział mi, że ma nadzieję spotkać tutaj szakalopa.

– A co to takiego? – pytam zdezorientowana. Znam większość tutejszych dzikich zwierząt, ale w życiu nie słyszałam o szakalopach.

Porter zaciska palce na grzbiecie nosa.

– Taki królik z rogami, który... nie istnieje. – Wzdycha. – Mamy na głowie kontrolę ogrodu i przygotowania do największej symulacji sezonu, a ten pięknooki dureń szuka mitologicznych stworzeń.

– Może żartował – stwierdzam.

Porter kręci głową.

– Nie. Mówił śmiertelnie poważnie i właśnie to mnie martwi.

– Rany – wzdycham, gdy zbliżamy się do Centrum Sztuki i Rzemiosła. – Powiedziałeś mu, że czegoś takiego nie ma?

Porter uśmiecha się kwaśno.

– Tak. Nie chciał mnie słuchać. – Schyla się i strzepuje trawę z czubka buta. Na nogach ma zupełnie nowe czerwone tenisówki z odbłaskową żółtą łyżwą Nike.

– Ładne – zauważam. – Po co włożyłeś nowe buty? Szybko się zniszczą.

– Chcę spoko wyglądać – wyjaśnia. – Nawet jeśli ktoś mnie pokroi na kawałki. Uczulałem Kyle’a, żeby dźgając mnie, przypadkiem nie pobrudził mi ciuchów sztuczną krwią.

– Niby jak ma to zrobić? – pytam.

Porter obejmuje mnie ramieniem.

– Na etapie, na którym ja ginę, większość uczestników jest tak przerażona, że już nawet nie zwracają uwagi na krew.

Porter i ja zaprzyjaźniliśmy się w ubiegłym sezonie. Przy tak dużej rotacji dobrze jest mieć pracownika, na którym można polegać, ale przede wszystkim fajnie mieć kogoś, z kim można pogadać o czymś innym niż praca. Poza tym stary Portera też jest beznadziejny, więc dobrze się rozumiemy.

– Dobra – mówię. – Chcę jeszcze raz sprawdzić klapę od wjazdu w Centrum Sztuki – dodaję, przeglądając listę rzeczy do zrobienia. – Wczoraj się zacięła.

Porter wchodzi za mną do środka. Kiedyś był to zwykły domek dla gości, ale obecnie tworzymy tu rekwizyty i testujemy nowe pomysły. Wolimy używać nazwy „Centrum Sztuki i Rzemiosła”, ponieważ „Centrum Testowania Sztucznej Krwi i Zabójczej Broni” nie brzmiałoby dobrze. Podchodzimy do wjazdu usytuowanego mniej więcej pośrodku pomieszczenia. Na tle drewnianej podłogi

prawie się nie odznacza, z tym, że jedna deska jest cieńsza niż pozostałe. Pociągam za zamaskowany uchwyt i kłapa otwiera się z głośnym skrzypnięciem.

– Widzisz – mówię. – Kiedy wczoraj Kyle wyskoczył na ukrywających się tu ludzi, zawiasy aż tak nie hałasowały. Teraz brzmią jak hamulce w pociągu. Trzeba się tym zająć.

Porter zapisuje coś w notesiku, który nosi w kieszeni. Uśmiecham się. Poza tym, że lubię go jako osobę, jest on chyba najlepszym pracownikiem, jakiego kiedykolwiek zatrudniliśmy. Zadał sobie trud, by przestudiować każdy zakątek terenu i przyległości, zwłaszcza ścieżki i szlaki, zna je lepiej niż ktokolwiek z nas, co jest przydatne, bo symulacja obejmuje cały tutejszy teren.

Kończymy sprawdzanie wjazdu i idziemy do biura przy bramie głównej. Gdy mijamy jezioro, dostrzegam stojącą na nabrzeżu Tashę. W ręce trzyma czerpak, którego używamy do wylawiania z wody martwych zwierząt.

– Tasha! – krzyczę. – Wszystko okej?

Odwraca się i uśmiecha.

– Tak! Po prostu zdawało mi się, że coś słyszałam. Myślałam, że do jeziora wpadł jakiś opos czy inny zwierzak.

– I co? – pytam. – Widzisz coś? – Przypominam sobie plusk, który słyszałam wczesnym rankiem, i zaczynam się martwić, że wkrótce w mętnej wodzie będzie dryfować cała masa nieżywych stworzeń.

– Nie bardzo – odpowiada. – Słabo widać. Chyba coś tam jest, ale nie mogę sięgnąć. Biedactwo. – Potrząsa głową, po czym zauważa Portera. – No, nie pogadasz! Twoje kuse szorty są naprawdę słodkie! Szukasz w tych kniejach chłopaka?

Porter wystawia nogę i z uśmiechem pręży umięśnione udo.

– Próbowaleś poderwać Javiera, ale on chyba woli ciebie – woła.

Tasha się śmieje. Ona i Javier wciąż ze sobą flirtują, co zaczyna być irytujące. W sensie, jedno z dwojga: mogliby się w końcu spiknąć albo dać sobie spokój.

Omiotam wzrokiem skalisty brzeg Mirror Lake i zauważam, że coś błyszczy w porannym słońcu. Podbiegam i podnoszę z ziemi przedmiot. To breloczek z dwoma kluczami i cienkim łańcuszkiem, na którym wyblakłymi białymi literami wygrawerowano napis: MIASTO GROTON ZAŁOŻONE W 1817 R.

Podchodzi do mnie Porter i zagląda mi przez ramię.

– Kolejne klucze?

Kiwam głową i wkładam znalezisko do kieszeni.

Wchodzimy do biura, gdzie przy recepcji tłoczy się grupka czterech osób, za kontuarem zaś za na niskim stołku siedzi Kyle i z zakłopotaną miną kartkuje zeszyt z rezerwacjami.

– Chwileczkę... możesz powtórzyć nazwisko? – pyta wyraźnie zmieszany.

Dziewczyna z długim, ciemnym warkoczem na plecach przewraca oczami i zagląda przez ladę.

– Kennedy. K-E-N-N...

– Wiem, jak to się pisze – przerywa jej Kyle. – Dzięki.

Wsuwam się za recepcję i delikatnie wyjmuję mu zeszyt z rąk. Kyle ściska mnie za ramię i odsuwa stół. Zaczyna wstawać, ale przytrzymuję go delikatnie. Kiwa głową, a ja zwracam się do stojącej przed recepcją kobiety.

– Rezerwacja na nazwisko Kennedy. – Odnajduję jej dane nagryzmołone w połowie strony. – Czterech graczy. Wronie Gniazdo, domek numer dwa. Wszystko opłacone. Poczekajcie chwilę na zewnątrz, to odprowadzę was do kwatery.

Dziewczyna szczyrzy zęby.

– Dzięki. – Rzuca Kyle’owi triumfalny uśmieszek. – Przynajmniej ktoś tutaj wie, co robi. – Przyjezdni wychodzą, a ja odwracam się do Kyle’a.

– Wpisz, że ta brunetka ma zginać w drewnutni – mówię. – Napędzimy jej stracha.

Kyle się uśmiecha i dopiero gdy jest pewien, że nikt go nie widzi, podnosi się z miejsca. Trudno byłoby podtrzymać iluzję, że ganiający za tobą ponaddwumetrowy gość jest seryjnym mordercą, gdy jednocześnie koleś tego samego wzrostu przerzuca papiery w recepcji i przyjmuje rezerwację. Ludzie czasem potrafią dodać dwa do dwóch, a to zepsułoby całą zabawę.

Zadzieram głowę i zaglądam mu w oczy. Są duże, brązowe, jego wzrok błądzi gdzieś w oddali. Delikatnie ścisnę go za ramię.

– A tak w ogóle, to gdzie się podział Felix? Recepcja to jego działka. Ciebie nawet nie powinno tu teraz być.

– Wiem – przyznaje Kyle. – Ale zobaczyłem, że na podjeździe czekają ludzie. Drzwi były zamknięte. Felix w ogóle się nie pokazał.

Rozglądam się po biurze. Zasłony są zaciągnięte, z kosa wysypują się śmieci, a tabliczka na drzwiach wciąż informuje, że biuro jest ZAMKNIĘTE. Pocieram dłonią lewą skroń.

– Pewnie on też nas olał. W tym roku mamy okropnego pecha.

Jordan i Heather, które grają ofiary nr 2 i nr 3, najwyraźniej już się zawinęły, a teraz odszedł również Felix. Do końca zostały jeszcze tylko trzy symulacje, w tym wielki finał sezonu, a pracownicy odpadają jeden po drugim.

– To nasi jedyni goście na dziś, więc wszystkie ręce na pokład. Ktoś musi odegrać role pozostałych uczestników – mówię. – Musimy stworzyć wrażenie, że oprócz nich są tu też inni ludzie. Wystarczy nam osób?

Liczba potrzebnych pracowników zależy od liczby klientów. Im więcej mamy gości, tym mniej z nas musi się wciąć w „prawdziwe” ofiary. Przy dużych grupach nie ma konieczności odgrywania podwójnych ról ani realizowania dodatkowych zadań. Możemy skupić się na pilnowaniu, żeby klienci poruszali się właściwymi ścieżkami i nie ominięli żadnego z efektów specjalnych. Zazwyczaj ogarniam wszystko z moim siedmioosobowym zespołem i działa to naprawdę dobrze. To symulacja horroru, ale tak dobrze przeprowadzona, że gdy sprawy idą zgodnie z planem, wydaje się wręcz zbyt realistyczna. Dziś mamy zaledwie garstkę gości, a nas jest o trzy osoby za mało. Porter, Tasha i Javier będą zmuszeni robić za dwóch, jednocześnie zajmując się nagłośnieniem i uciekając przed mordercą. Notuję w głowie, żeby przy pierwszej możliwej okazji porządnie zmyć głowę Felixowi, Jordan i Heather. Oczywiście w profesjonalny sposób. Mega profesjonalnie obrzucę ich wyzwiskami.

Kyle zastanawia się przez chwilę.

– Damy radę. Będzie trudno, ale spoko. Powinniśmy to ogarnąć.

– Okej. Zaprowadzę gości do domku, a potem możemy zacząć się rozstawiać. Czekaj. – Nachyliam się w stronę Kyle’a. – Możesz sprawdzić domek Felixa i potwierdzić, że go tam nie ma?

– Pewnie – zgadza się. – Mieszka razem z Jordan i Heather, prawda?

Kiwam głową. Cała trójka przyjaźniła się przed przyjazdem tutaj, więc postanowili zamieszkać razem w dużym domku po zachodniej stronie obozu.

– Sprawdź tylko, czy nie leżą gdzieś tam bez życia czy coś.

Wyciągam telefon i piszę na czacie grupowym do Felixa, Heather i Jordan, że jeśli nie planują wracać do pracy, to niech chociaż dadzą mi znać, ale czerwony wykrzyknik obok tekstu świadczy o tym, że wiadomość nie została wysłana.

Kyle oddała się, człapiąc niezdarnie, a ja wrzucam znalezione nad jeziorem klucze do słoika pod ladą recepcji. Na brzegu znajduję najróżniejsze rzeczy – klucze, okulary przeciwsłoneczne, menażki. Większość wyrzucam do kosza, jednak klucze zachowuję. Po trzech sezonach słoik jest niemal pełny.

Wychodzę odprowadzić nowo przybyłych do kwatery. Przed symulacją większość gości lubi się rozpakować, wypić kilka drinków i zwiedzić autentyczne domki z planu *Kłutwy obozu Mirror Lake*. Po zakończeniu gry nie będą już mieli okazji ich zobaczyć.

Prowadzę przyjezdnych wzdłuż południowego brzegu jeziora, obok przystani dla łódek i pomostu. Po drodze mijam swój domek i zauważam, że zostawiłam włączone

światło na werandzie. Pojedyncza żarówka świeci słabym, migotliwym światłem. Wzdycham. Lepiej, żeby to nie oznaczało awarii prądu. To ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję.

– Wszyscy podpisaliście oświadczenia o zrzeczeniu się roszczeń, ale zgodnie z prawem muszę wam głośno przedstawić warunki i uzyskać od wszystkich ustną aprobatę – oznajmiam. To bujda, lecz udawanie, że to ważne, wywołuje dodatkowy dreszczyk napięcia. – Obóz Mirror Lake to pełnokontaktowa symulacja horroru – ciągnę, mijając domki pozostałych członków personelu. – Nasi pracownicy mogą was szturchać, popychać, krzyczeć na was, a nawet was unieruchomić.

– Czekaj, czekaj – przerywa mi brunetka, stojąc w miejscu. – Unieruchomić? Co przez to rozumiesz?

Zerkam na nią przez ramię.

– Możemy was związać linką lub kawałkiem materiału. Nie wolno nam użyć kajdanek, nie możemy też zakrywać wam ust i nosa. Możemy jednak zawiązać wam oczy. Miejcie to na uwadze.

Dziewczyna nie zadaje więcej pytań, jej przyjaciele chichoczą, przysłaniając usta rękami.

Młodszy koleś w czarnej koszulce chichra się pod nosem.

– To idiotyczne. Nie wiem, jakim cudem dałem się na to namówić.

– Obóz ma upamiętniać kultowy horror z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, *Kłątę obozu Mirror Lake* – ciągnę urażonym tonem. – Właśnie tu go kręcili, a my staramy się jak najwierniej odtworzyć kluczowe sceny.

– Więc skoro widzieliśmy film, to mamy już z górki? – pyta jeden z kolegów. – Będziemy wiedzieć, co się wydarzy?

– Nie do końca – odpowiadam. – Trochę zmieniamy. – W rzeczywistości zmieniamy wiele rzeczy. Ale wolimy, żeby gracze myśleli, że znajomość filmu działa na ich korzyść.

Zbliżamy się do sektora o nazwie Wronie Gniazdo; wskazuję im domek nr 2 – konstrukcję z bali z zielonym metalowym dachem i ceglanym kominem.

– O dwudziestej spotkacie się z innymi graczami w Kwaterze Głównej i rozpoczniemy symulację.

Wręczam brunetce klucz.

– Mam nadzieję, że wszyscy przeżyjecie noc. – Zostawiam ich, by mogli się rozgościć, i podejmuję ważną decyzję: dziś w nocy nikt nie ocaleje.

Na krótko przed dziewiętnastą ekipa z domku nr 2 spotyka się w Kwaterze Głównej z Porterem i Tashą, którzy udają pozostałych graczy. Ja już czekam na miejscu. Witając się z nimi, trzymam nisko głowę, starając się wyglądać na małą i niewidoczną. Peruka zdecydowanie mi w tym pomaga. Makijaż też robi swoje. Brunetka nie rozpoznaje we mnie dziewczyny, która ją zameldowała i zaprowadziła do domku. Normalnie zrobiłby to Felix, a ja poznałabym gości dopiero wieczorem. Wciąż jestem o to wkurzona, ale staram się o tym nie myśleć i skupić się na czekającym mnie zadaniu. Delikatnie dotykam tyłu swetra,

upewniając się, że baterie zasilające słuchawkę w moim uchu są dobrze ukryte.

Z południowym akcentem, zapożyczonym od mojej zmarłej babci, oznajmiam graczom, że mam na imię Jade i jestem szalenie podekscytowana. Przyjezdnym udziela się mój entuzjazm. Widzę, jak oczy im się rozjaśniają, a kąciki ust wędrują w górę. Podniecenie rośnie niczym wzbierająca za tamą woda. Wszyscy gromadzą się wokół dużego kominka, a ja zerkam na zegar na ścianie. Jest 19.59. W słuchawce słyszę szelest, a potem odzywa się głos.

– Zaczynamy – mówi Kyle. – Pamiętajcie, Charity postanowiła, że dziś nikt nie przeżyje. Wszyscy mają zginąć. – Śmieje się do mikrofonu. – To mój ulubiony scenariusz.

Zwykle zostawiamy kilku ocalałych. Serwujemy im krwawe widoki i parę bliskich spotkań z Kyle'em, z których ledwo uchodzą z życiem, ale ostatecznie komuś udaje się przetrwać i dotrzeć ze mną do bramy, by o północy odebrać swoją koszulkę zwycięzcy. Jednak nie dziś.

Wybija ósma. Do domku, lekko utykając, wpada gracz nr 2, którym z założenia miała być Heather, lecz dziś wciela się w niego Javier. Od stóp do głów spływa krwią. Jego charakterystyka jest tak świetna, że muszę ukryć falę podekscytowania, która zalewa mnie na widok przebranego Javiera. Zawsze tak mam – początek symulacji to dla mnie niesamowity haj. Mam mu do zarzucenia jedynie to, że pokrywająca go krew jest zbyt ciemna. Wolę, gdy jest bardziej transparentna.

– Proszę! – Javier kurczowo trzyma się ościeżnicy, jego piersi gwałtownie wznoszą się i opadają. – Proszę, pomóżcie mi! O-on tam jest!

– Kto? – pytam. – O czym ty mówisz? – Znam swoje kwestie tak dobrze, jak własne imię.

– Facet w masce! – odkrzykuje mi Javier, w jego oczach błyszczą prawdziwe łzy. – Pomóżcie mi!

Brunetka bierze gwałtowny wdech, wybałusza oczy, po czym przywiera do swojej przyjaciółki. Ma wpół-otwarte usta i wygląda na przerażoną. Tylko ja i personel wiemy, że akurat ona ma się dziś czego bać. Taki już los czeka nieuprzejmych gości – na koniec płaczą i robią w gacie ze strachu.

W ciągu następnych kilku godzin uczestnicy przeżywają serię starannie zaaranżowanych sytuacji. Dbam o to, żeby nie przegapili widoku Kyle’a, który wymachuje maczetą i masakruje po kolei Javiera, Portera i Tashę. Naturalnie zostawiamy im czas na „ukrycie się” lub próbę wymyślenia planu ucieczki, ale, choć oni nie zdają sobie z tego sprawy, to wszystko jest częścią gry.

W połowie symulacji uczestnicy się rozdzielają, a Javier i Tasha mają za zadanie spędzić ich w jedno miejsce, abyśmy mogli ich pokierować do następnej makabrycznej sceny. Kiedy się tym zajmują, zostaję sama nad jeziorem. Oddzielam się od grupy na wczesnym etapie gry, żeby pomóc przy efektach specjalnych. Czekam na sygnał, którym dziś jest głośny krzyk dziewczyny odtwarzany z małych głośników ukrytych na drzewach przy domkach dla gości. Kiedy go usłyszę, mam wylać na ścieżkę, którą będą przebiegać gracze,

wiadro sztucznej krwi zmieszanej z kawałkami surowego kurczaka.

Zaczajam się w cieniu strzelistej sosny przy brzegu i czekam. Nagle za plecami słyszę plusk wody. Oglądam się za siebie, spodziewając się, że któregoś z gości skusił zakazany owoc, lecz nikogo nie widzę.

Robię krok w stronę jeziora.

W wodzie tuż przy brzegu coś pływa. Na powierzchni unosi się ciemny kształt przypominający człowieka. Głowa i ramiona falują, ale nie widać twarzy.

– Hej! – krzyczę. – Natychmiast wyłaź! Tu jest zakaz pływania! – Ruszam wzdłuż brzegu. Kto to, do cholery, jest? Co to w ogóle za pomysł? – Hej! – wołam ponownie.

– Charity, teraz! – szepcze głos w słuchawce. Serce podchodzi mi do gardła.

Lecę z powrotem na ścieżkę i chlustam z wiadra krwią i surowym mięsem. W ciemności można odnieść wrażenie, że kogoś spotkał tam makabryczny koniec. Chowam się w zaroślach, skąd słyszę gorączkowe oddechy i przestraszone szepty nadbiegających uczestników.

Gdy głosy cichną, znów patrzę ku jezioru. Martwi mnie, że nie dobiega stamtąd żaden dźwięk. Biegnę do brzegu, jak najbliżej miejsca, w którym w wodzie widziałam człowieka.

Dotykam słuchawki.

– Czy ktoś może przeliczyć graczy? Tylko szybko.

Czekając na odpowiedź, wpatruję się w ciemną toń. Wciąż widzę... coś. Ciemny kształt tuż pod powierzchnią. Biegnę w kierunku wieży ratowniczej, która wprawdzie

jest atrapą, ale wykonaną bardzo wiernie. U góry wisi jaskrawopomarańczowe koło ratunkowe.

Wspinam się na chwiejną konstrukcję, ściagam koło i wkładam pod pachę. Zeskakuję, wracam pędem na brzeg i rzucam koło w miejscu, gdzie widziałam domnie-
manego topielca.

– Charity. – Przez szumy w słuchawce przebija się głos Javiera. – Potwierdzam stan osobowy. Cała czwórka obecna.

Kamień spada mi z serca. Wzdycham z rozdrażnieniem i ponownie wbijam wzrok w wodę. Tajemniczy kształt zniknął. Na ciemnych falach kołysze się tylko koło ratunkowe.